

KAMIL PERT

## Dramat w domu obłąkanych

8

Powieść.

I po wstępnych, krótkich zapytaniach formalnych, ciągnął dalej:

— Cniej mi powiedzieć wszystko, co wiesz o panu Laborda!

Doktor poruszył głowę.

— Mój Boże, to co wiem, redukuje się do bardzo niewielkich rzeczy.

— Sądziłem, że pozostawaliście z sobą w bliskich stosunkach?

— Błędne, panie sędzio, mniemanie!

— W jaki sposób poznałeś go pan... i kiedy?

— Będzie temu lat cztery. Byłem wtedy lekarzem na statku „Argentin”, kursującym pomiędzy Rio Janeiro a Bordeaux. Pana Emanuela Laborda, pasażera pierwszej klasy, leczyłem kilkakrotnie, ulegał bowiem często silnie na niego oddziaływającej chorobie morskiej. W wolnych od zajęć chwilach, chętnie z nim rozmawiałem o sprawach ogólnych. Raz tylko opowiedział mi kilka szczegółów, bliżej go dotyczących.

— Które były?...

— Wyznał mi, że nie jest Brazylijaninem, za którego uchodził, lecz Francuzem, rodem z Bordeaux. Nosił nazwisko swojej matki, Hiszpanki; w rzeczywistości zaś nazywał się Emanuel Gaffre. Był nie żonaty i sądził, że niema wcale żyjących krewnych.

— Co mówił z panem o swoim majątku?

— Mówił mi wówczas, że odniósł wielkie korzyści w handlu skórą i gdyby zdołał porozumieć się z pewną firmą w Bordeaux, do której właśnie miał się zgłosić, interes jego mógłby niewątpliwie znacznie się rozszerzyć.

— Czy to wszystko?

— Tak.

— Ale następnie musiałeś się pan chyba czegoś więcej dowiedzieć, korespondowałeś z nim bowiem ciągle?

— W rzeczy samej zamieniliśmy dwa czy trzy listy... przed ostatnim, w którym mi donosił, że na stałe powraca do Francji, ażeby używać swego majątku, lecz ponieważ jest cierpiący, chciałby wprzód leczyć się w zakładzie, w którym jestem asystentem. Przedstawiłem list dyrektorowi, który następnie sam prowadził z nim układy.

— Utrzymujesz pan zatem, w myśl tego, co już powiedziałeś, że cyfra majątku pańskiego przyjaciela była ci nieznaną?

— Tak. Nic ściślejszego nie mówił mi on w tym względzie.

— Lecz wedle pańskiego mniemania ile mogła wynosić jego fortuna?

Doktor poruszył się na krześle z widocznym rozdrażnieniem.

— Nigdy nie zadawałem sobie podobnego pytania! Nie obchodziło mnie to bowiem wcale!

— Przepraszam. Mogło to pana obchodzić, bo przecież chciałeś od pana Laborda pożyczyć pieniędzy.

Doktor syknął tonem zaprzeczenia:

— Ja?

— Niezawodnie! Tak jemu, jak i innym pasażerom na „Argentinie”, proponowałeś pan kilkakrotnie udzielenie ci pieniędzy na zawiązanie spółki, mającej na celu ufundowanie wielkiego przedsiębiorstwa... czegoś w rodzaju kasyna, czy też domu gry, który zamierzałeś otworzyć w okolicy Rio Janeiro...

Twarz młodego lekarza, nie zarumieniała się wprawdzie, lecz pociemniała nagle. Krzyknął z uniesieniem:

— Ależ to jest dziwne przekręcenie faktów!... Projektowałem istotnie wzniesienie sanatorium w górach, otaczających Rio Janeiro...

— Sanatorium, w którym ruleta i baccarat miały objąć wszechwładne panowanie! — przerwał Deverrier tonem zaczepnym.

Doktor machnął ręką.

— Mówi pan o kraju, którego nie znasz! Niezawodnie, zakład podobny, ufundowany i urządzony według potrzeb i obyczajów mieszkańców Ameryki Południowej, musiałby posiadać, oprócz sali widowiskowej i salonu gry. Oba te akcesoria, uważane są tam za nieodzowne, a bez nich sanatorium istnieć by nie mogło!... Zakład jednak, jak wiele innych w tamtych stronach, przeznaczony był głównie do służenia, w porze upałów i febry, za schronienie dla rodzin uczciwych, należących do najlepszego towarzystwa.

— Cóż przeszkodziło do urzeczywistnienia pańskiego projektu?

— Trudność znalezienia potrzebnego kapitału, który musiałby być bardzo znaczny...

— Zwłaszcza, że sam nic nie posiadałeś!

Doktor odparł żwawo:

— Można przecie być człowiekiem uczciwym, obejmując posadę kierownika przedsiębiorstwa, w które się nie włożyło własnych pieniędzy, dlatego jedynie, że się ich nie miało.

— Koniec końców, próbowałeś pan w obmyślany przez siebie interes wciągnąć pasażerów, którzy wydawali się bogatymi, a z którymi mogłeś wchodzić w bliższe stosunki, dzięki stanowisku jakie zajmowałeś na okręcie.

— Rzeczywiście rozmawiałem o moim projekcie z ludźmi, których to interesować mogło.

— Lecz zarząd Towarzystwa żeglugi morskiej, dowiedziawszy się o tem, uważał pańskie zabiegi za niewłaściwe i skłonił cię do zażądania dymisji, bo gdybyś sam nie uczynił tego dobrowolnie, wymówionoby ci ostentacyjnie posadę...

Usta doktora wykrzywiły się nieco.

— Tak! To jest ściśle stwierdzenie faktu! — rzekł suchym tonem.

— Zresztą — ciągnął dalej Deverrier, kładąc silny nacisk na wymawiane wyrazy — surowość Towarzystwa tłumaczy się jeszcze tem, że dawałeś mu pan inne powody do niezadowolenia...

Na twarz doktora odmalowało się nerwowe rozdrażnienie.

— Nie wiem, co pan przez to chce powiedzieć?

— Wytlómaczę panu. Miałeś wówczas nałóg, któremu i dziś ulegasz niemal nieustannie. Pijałeś eter, niekiedy bez umiarkowania, co cię czyniło niezdolnym do należytego spełniania służby na statku. Nadto, prawdopodobnie dla nabrania wprawy w kierowaniu salonem gry, który otworzyć chciałeś w swoim sanatorium, brałeś udział w partych pokera o wysokich stawkach...

Jintot zaprotestował.

— Wszystko to przedstawiono panu w barwach zbyt jaskrawych! Ludzka zła wola przeholowała tym razem niezmiernie.

— Zaprzecz pan, że nie pijałeś eteru!

Doktor zawahał się momentalnie, poczem odpowiedział głosem niepewnym, łamiącym się w miarę mówienia.

— Nie wiem, dlaczego przemawia pan do mnie z tak wyraźną niechęcią!... Odpowiadam panu, o ile mogę najdokładniej. Pragnę szczerze dopomóc przedstawicielowi sprawiedliwości do wyświeatlenia prawdy, chociaż nie wiem, jakich, w rzeczy samej pożytecznych wyjaśnień, udzielić mogę w sprawie, w której mnie pan do siebie powołałeś... Bo co kogo obchodzić może w poszukiwaniach, odnoszących się do śmierci doktora Manescault i Emanuela Laborda, że podległem mniej więcej surowej naganie zarządu Towarzystwa żeglugi morskiej, dla którego pracowałem niegdyś?... Co kogo interesuje, że niedole i rozczarowania mego osamotnionego życia, oraz niepowodzenia, jakich zaznałem w moim zawodzie, doprowadziły mnie do przyzwyczajenia, które tylko mnie jednemu szkodzić może? Piję istotnie eter kiedy niekiedy, lecz nigdy w takim stopniu, aby mnie czynił niezdolnym do spełniania obowiązków, jakich się podjąłem.

Mówił z widocznym wzruszeniem, lecz Deverrier już od dość dawna go nie słuchał. Szukał czegoś w leżących przed nim aktach i szeleścił papierami w sposób tak nieznośny, tak drażniący nerwy, że nawet siedzący naprzeciw niego pisarz sądowy, zdawał się tracić zwykły spokój, zaczął bowiem z wściekłością gryźć trzymaną w ręku obsadkę od pióra.

Nie troszcząc się wcale nieprzyjemnem wrażeniem, jakie ruchliwość jego wywierała na słuchaczach, rzekł nagle, jakby od niechcenia:

— Chciej mi powiedzieć doktorze, co zaszło pomiędzy tobą a panem Laborda w nocy, w ciągu której popełniono zbrodnię?

Doktor Jintot, zwinęty w gałkę chustką, ocierał czoło, na które wystąpił pot perlisty. Chwilowe jego wzruszenie rozpraszalo się obecnie. Odparł opryskliwie:

— Co do tego, składałem już raz zeznanie. Musi być zapisane w raporcie komisarza policji z Ville-neuve.

Uśmiezek na wpół słodki, a na wpół złośliwy, zaigrał na wargach sędziego w chwili, gdy palce jego podnosiły arkusze papieru, rozłożone przed nim na biurku.

— Niezawodnie!... Zeznanie pańskie znajduje się tutaj! Lecz czy nie raczyłbyś z łaski swojej powtórzyć je raz jeszcze?

Jintot ochrypiłym głosem uczynił zadość żądaniu sędziego.

— Na wezwanie pana Laborda udałem się do Pawilonu Bzów...

Deverrier przerwał:

— Przepraszam! Racz ściśle określić sposób, w jaki otrzymałeś to wezwanie?

— Jeśli pan chce koniecznie!... Otóż Laborda zatelefonował, że pragnie widzieć się z panem doktorem Manescault natychmiast...

— Czy istnieje telefon, łączący Pawilon Bzów z zakładem?

— Istnieje!

— Więc Laborda wezwał pana telefonem? Pan zaś, odpowiedziałeś mu w tenże sam sposób. Wszystko zatem odbyło się tak, jak pan zeznałeś przed komisarzem policji?

Doktor Jintot podniósł oczy na sędziego, zawałał się chwilę, poczem odpowiedział głosem obojętnym, jakby go całe to badanie nie interesowało już wcale:

— Tak, panie.

Sędzia siedział teraz nieruchomo, nie drgnął nawet. Wydał tylko rozkaz „wprowadzenia tak zwanego Maurycego Berthaut”.

Po szybkim stwierdzeniu generalistów dozorczy, Deverrier zadał mu pytanie, które w nagłe pomieszenie wprowadziło doktora.

— Wszakże oświadczyłeś pan w ostatnim swoim zeznaniu, że telefon, łączący Pawilon Bzów z głównym budynkiem zakładu dla obłąkanych, nie funkcjonuje od pewnego czasu?

Berthaut odpowiedział silnym głosem, rzucając wyzywające spejrzenie na doktora Jintot

— Tak, panie sędzio.

— Od kiedy?

— Przestał służyć w wilię wili dnia, w którym zamordowani zostali pan Laborda i pan dyrektor.

— Zatem niepodobieństwem było, aby pan Laborda mógł telefonicznie porozumieć się z panem doktorem Jintot?

— Równie z panem doktorem, jak z kimkolwiek bądź innym w zakładzie. Wypadek sprawił, że druty zostały zerwane... a robotnik, który je miał naprawić, po dziś dzień jeszcze nie przyszedł.

— Czy wiadano o tem w zakładzie?

— Nie, panie sędzio. Pan Laborda telefonował bardzo rzadko. Sądzę więc, że on sam nawet nie wiedział, że telefoniczna komunikacja z gmachem głównym została przerwana.

— Czy jesteś pewien, że po pańskim wyjeździe nie przywrócono jej, choćby tylko chwilowo?

— Rzecz zupełnie niemożliwa. Łatwo się o tem przekonać.

— Czy inne osoby mogą wraz z panem świadczyc, że zerwanie drutów nastąpiło przed nocą, w której popełniono zbrodnię?

Doktor Jintot uprzedził Maurycego w odpowiedzi.

— Nie potrzeba, panie sędzio! Bardzo być może, że druty zerwane zostały wcześniej. Nie przeczę temu... Ot, powiem szczerze, że nie widziałem o tem.

Sędzia nie mógł się powstrzymać od wykrzyknika, pełnego zdziwienia:

— W takim razie pańskie podwójne zeznania?...

Doktor wzruszył ramionami i odpowiedział tonem zupełnie swobodnym:

— Mój Boże! W ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie zeznałem prawdy, bo rzecz sama nie miała dla mnie najmniejszego znaczenia!

Deverrier zawołał:

— Czy być może?... W takim razie, co pan zeznae obecnie?

— Och! prawdę... najszczerzą prawdę! Nie spędziłem nocy w biurze, nie mogłem zatem wiedzieć, czy telefonowano po mnie z Pawilonu Bzów, czy nie...

— Gdzie byłeś?

— W moim pokoju...

— Cóżeś tam robił, zamiast siedzieć na miejscu, wskazanem ci przez obowiązek służbowy? Wszakże to uchybienie ze wszech miar znaczące, które będziesz pan musiał wytłómaczyć i usprawiedliwić.

— Och! nie przesadzajmy!... Bardzo rzadko potrzebny bywałem w nocy, a jeśli przypadkiem okazała się potrzeba, to równie łatwo można mnie było przywołać z mego pokoju. Rozporządzenie pana Manescault w tym względzie, uważałem zawsze i uważam jeszcze za dziwactwo, albo chęć udreczania asystenta... Kazać mi, bez żadnej korzyści dla zakładu, siedzieć do północy w biurze, w którym nawet cygara palić nie mogłem, to przecież nie miało sensu...

Deverrier uśmiechnął się ironicznie.

— Pan wolałeś udać się do swego pokoju, aby w nim bez przeszkody zapijać się eterem!

Doktor zmieszany nie odpowiedział na to ani słowa.